Rok 1901. Lwów, 22. Września Nr. 37.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·—	miesięcznie: 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·—	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·—	„ ½
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO“ Lwów • Cicha 5.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.

Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE“ po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego“ po 2 korony od 100 egzempl.

Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego“ we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ — Lwów.

Nr. 37. Lwów, 22. Września Rok 1901.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

Wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·—	miesięcznie 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	16·—	8·—	4·—	2·—
W innych krajach europ.	franków:	20·—	10·—	5·—	2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	4·—	2·—	1·—	1·—
W Ameryce południow.	franków:	25·—	13·—	7·—	3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO" Lwów — Cicha 5.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.

Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE" po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego" po 2 korony od 100 egzempl.

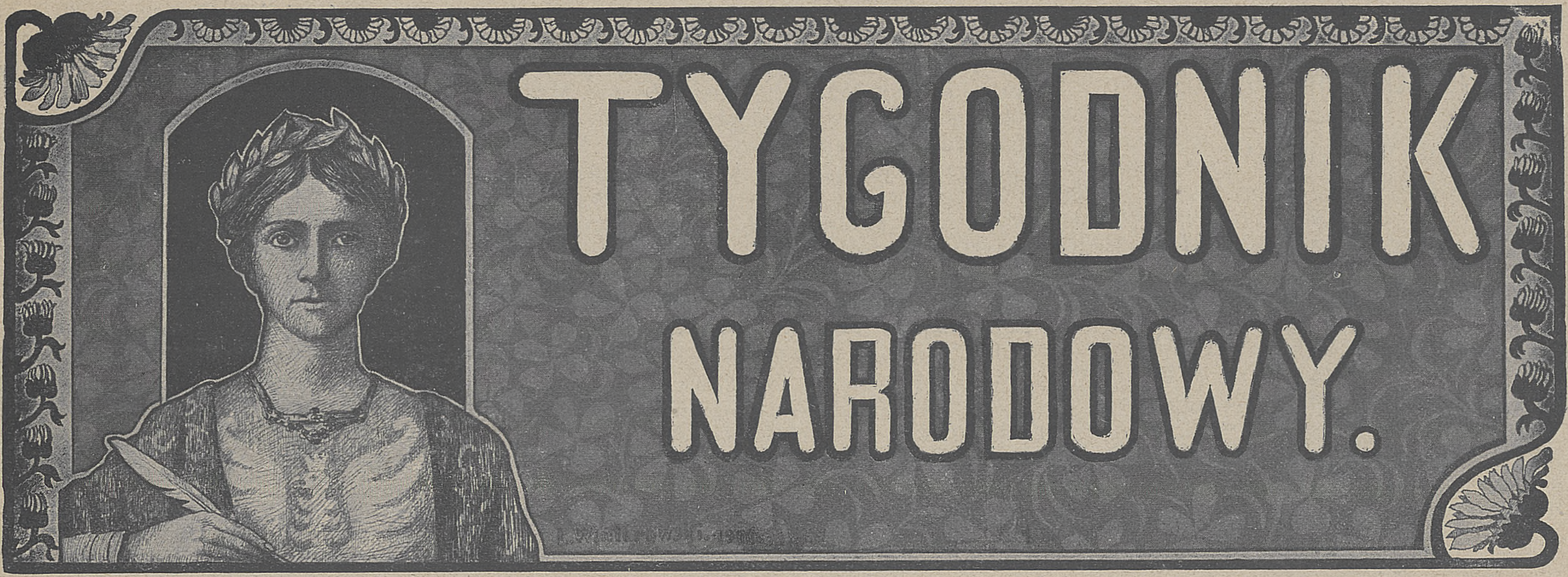
Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego" we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Z drukarni „Dziennika Polskiego" — Lwów.

Rok 1901. Lwów, 22. września. Nr. 37.



Redaktor: Klemens Kołakowski. Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11, Administracya przy ul. Cichej l. 5.

Treść Nr. 37:

Pomnik dla kurtyzany.

Francuzi wpadli w prawdziwą manię stawiania pomników. Każde najdrobniejsze miasteczko sili się na wyszukanie jakiegoś męża, któryby pochodził z danego miasteczka i odznaczył się czemśkolwiek, aby mu można było postawić pomnik w uczczeniu jego pamięci, a równocześnie przyozdobić miasteczko. Powstał więc po miastach i miasteczkach Francyi długi szereg pomników, a rzeźbiarze znaleźli dobry zarobek. Obecnie w Paryżu zawiązał się komitet dla postawienia pomnika dla słynnej w XVII. wieku aktorki Clairon. Projekt ten wywołał atoli żywe protesty. Była ona drugą Adrianną Lecouvreura Dumesnil najsławniejszą aktorką tragiczną, przyznać jednak trzeba, że po znakomitym talentem wszystkie własności jej składały się na całość, która do uwiecznienia w marmurze bynajmniej się nie nadaje.

Była ona bowiem równie sławną kurtyzaną jak artystką, a o talencie jej mówiono tyle co o jej miłostkach. W ostatnim czasie mówiono i pisano o niej wiele. Oprócz pamiętnika, który sama przekazała potomności, wygrzebano jej korespondencyę prywatną i nigdy może równie namiętnie nie buszowano w skrytkach sekretarzyka damskiego. Bo też ile tu listów do ludzi potężnych, do artystów, do kochanków! Jako osobistość jest ona ze swemi zaletami i błędami, z cnotami — a nie miała może innej ponad adoracyę sztuki — i wadami swemi tak ściśle wmięszana w życie swej epoki, że mówiąc o niej odtwarza się równocześnie życie dworskie, miejskie, i zakulisowe, a przedewszystkiem teatr i sztukę.

Pochodzenie jej wbrew przechwałkom pamiętnika było bardzo skromne, była bowiem córką wyrobnicy z Coudé i sierżanta. Miała zostać szwaczką, lecz, że do igły czuła wstręt nieprzewyciężony, matka przywiozła ją do Paryża. Zamknięte na klucz w pokoju dziewczątko, wygramoliło się na krzesło i ujrzało przez otwarte okno przeciwległej kamienicy jak aktorka Dangeville brała lekcye tańca. Natychmiast naśladowała ją wybornie. Gdy raz ktoś wziął ją do teatru, na drugi dzień potrafiła dosłownie powtórzyć dwie usłyszane sztuki, z których jedną wierszem. Daremnie jej grożono. „Zabijcie mnie więc! — wołała — bo inaczej zostanę aktorką!"

I została nią rzeczywiście w r. 1736; mając zaledwie lat 13, wystąpiła po raz pierwszy w komedyi włoskiej. Występuje potem po kolei w Rouen, Lille, Gund, a wszędzie talent jej budzi tyle podziwu, ile życie skandaliczne wywołuje zgorszenia. W dwudziestym roku życia dostaje się do Opery paryskiej. Panowie z najwyższej arystokracyi otaczają ją, ubiegając się o jej łaski. Lecz względy księcia d'Antin, de Custine, de Soubise nie zadowalają jej, pragnie przebojem zdobyć Komedyę francuską. Udaje jej się to, mimo spisku zorganizowanego przeciw niej przez zgorszonych jej prowadzeniem się artystów. Wszyscy śmieją się, gdy Clairon zamierza wystąpić w „Fedrze", wnet jednak śmiech zamienia się w podziw, a wrogowie nawet przyznają jej, że przewyższyła Lecouvreur. Toż samo w „Kleopatrze" Marmontela budziła najwyższy zachwyt. Za Ludwika XIV. i XV. tragiczna muza roztacza zamaszyście fałdy swej tuniki klasycznej i tragedya uchodzi za najszlachetniejszy rodzaj sztuki. Lubiono Moliera, lecz uwielbiano Corneilla i Racina. Horace, Cinna, Rodogune, Athalie, unoszą i do łez wzruszają tłumy. Gdy występowała Clairon, geniusz Voltaira opanował scenę *Vous et Corneille vous, êtes mes dieux*, pisze doń artystka. W późniejszych latach odwiedza go w Ferney, a Voltaire pieści ją, zwąc ją swą fontanną młodości. Nikt przed nią nie doprowadził sztuki do tak wysokiego stopnia dystynkcyi, świetności i skończoności. Lecz w sile wieku jej wyuzdane życie spowodowoło chorobę, która prócz cierpień przyniosła jej szyderstwa, pamflety i potwarze licznej rzeszy zazdrosnych. Po każdym występie następowała kryzys, lecz zaledwie przyszła do siebie, znów występowała.

Przytem niestrudzenie pracowała nad udoskonaleniem sztuki. I tak zrzekła się kosztownych kostyumów i dążyła ku temu, aby zastosowawszy się do epoki, otoczenia i charakteru osobistości, osiągnąć najwyższy stopień prawdy. W tym kierunku była przodowniczką na scenie. Pani Pompadour zachwycała się jej talentem, a Hérault de Séchelles, przyszły adwokat rewolucyi uczył się u niej dykcyi i gestów. Gdy choroba jej wzmogła się, lekarze kazali jej opuścić scenę. — W r. 1766 księże de Duras podpisał jej dekret pensyjny i Clairon opuściła teatr, w którym w ciągu 22 lat stworzyła 37 ról. W r. 1773 sprzedawszy swe cenne arcydzieła sztuki, wyjeżdża do Niemiec i zostaje faworytą margrabiego von Anspach. Przez 17 lat zajmuje na tym małym dworze stanowisko niby Pompadour, rządzi wszystkiem i utrzymuje stosunki oficyalne z ministerstwami innych mocarstw. Lecz gdy potem popada w niełaskę u margrabiego, wraca w r. 1785 do Francyi i tu w Issy spędza ostatnie lata dość smutniej i cichej po tylu świetnych przejściach starości. W r. 1803 pochowano ją na cmentarzu Vougirard, ale w 34 lat później Komedya francuska przeniosła jej zwłoki na Pére Lachaise, a w r. 1807 societaryusze złożyli 6000 fr. na odrestaurowanie jej grobowca. Lecz nie dość na tem: Clairon będzie miała swój pomnik, gdyż protesty umilkły wobec entazyazmu dla sztuki.

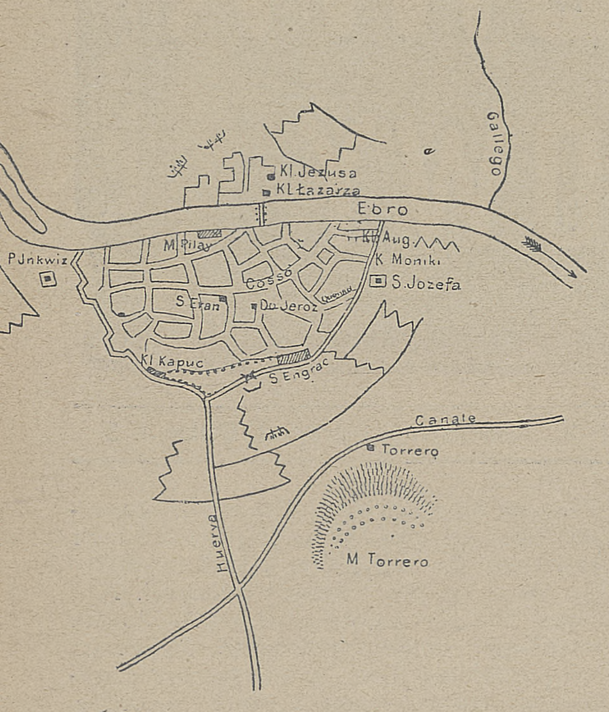
G. L.

Dr. Jan Stella-Sawicki.

Jak należy bronić Ojczyzny.

SARAGOSSA.

(Dokończenie).



Marszałek Lannes pojawiał się często wśród tej połowy dywizyi Musniera i Grandjeana, aby wlać w nich otuchę i wiarę w siebie, aby im powiedzieć że nieprzyjaciel więcej cierpi od nich i że nie może bronić całego miasta z tą samą zaciętością jak tych ulic kilka. „Chwilę cierpliwości, koniec cierpień naszych zbliża się, nieprzyjaciel już traci energię, traci zaufanie w siebie“. Lecz sam marszałek nie wierzył w to co mówił, bo pisząc do cesarza wyznawał otwarcie, iż niewie kiedy się skończy to straszne oblężenie, że nie umie oznaczyć chwili wzięcie miasta, bo często na owładnięcie jednego domu potrzeba dni kilku.

A jednak pomimo szemrania, pomimo niezadowolenia armia francuska nie była mniej czynną ani mniej odważną. Przechodząc od szpitala waryatów z prawej strony ulicy na lewą w kierunku klasztoru św. Franciszka podziemnym korytarzem Francuzi zauważyli, że i oblężeni prowadzą minę ze swojej strony. Nie tracąc więc czasu podłożyli 30 centnarów prochu i dla wywołania najstraszniejszego efektu zaczęli udawać, że chcą otwarcie zaatakować klasztor, aby przyciągnąć jak największą liczbę obrońców. Natychmiast setki Hiszpanów zajęło wszystkie piątra, dachy i piwnice, czekające na Francuzów. Wtedy to podpalono prochy. Nastąpił straszny wybuch, który wstrząsł całe miasto; część pułku strzelców Walencyi wyleciała w powietrze i pogrzebaną została pod gruzami klasztoru. Po chwili przeważnie Francuzi i Polacy rzucili się na bagnety do palących się resztek klasztoru i pomimo kul, które się sypały zewsząd owładnęli budynkiem. Lecz wkrótce ich wypędzono stamtąd, bo obrońcy zamknięci na dzwonnicy tak razili ogniem karabinów i ręcznemi granatami, że niepodobna było utrzymać się. Wieczorem jednak ustąpili Hiszpanie z dzwonnicy, zauważywszy że Francuzi podkładają nową minę. Tym sposobem ci ostatni dostali się prawie aż do Cosso i tu zaczęli się gotować do zrobienia jeszcze straszliwszej eksplozyi, mającej wysadzić w powietrze obie strony ulicy.

Na prawem skrzydle Francuzi, posuwając się wzdłuż ulicy Quemada, św. Moniki i św. Augustyna zajęli kolegium, podminowali uniwersytet i doszli do Ebro, skąd mogli już poprzeć atak, prowadzony z lewego brzegu rzeki. Uniwersytet miał wylecieć w powietrze jednocześnie z owładnięciem przedmieścia.

Nastąpiło to 18 lutego, to jest w pięćdziesiątym dniu od początku bezprzykładnej walki. W ulicach 50 dział grzmiało od rana. Lannes przybywszy osobiście jak tylko przekonał się, że otwór w grubych murach klasztoru jest dostateczny nakazał atak. Walka była straszna; około 400 Hiszpanów zostało zakłutych, a klasztor wpadł w ręce Francuzów, którzy stamtąd rzucili się ku mostowi, mając nadzieję odciąć nieprzyjaciół i zmusić ich do złożenia broni. Manewr udał się, bo tylko część wojska w ilości trzech do czterech tysięcy ludzi przedarło się na drugą stronę Ebro, a cztery tysiące otoczonych broń złożyło.

Tym sposobem Francuzi stali się panami większej części prezdmieścia, odjęli mieszkańcom ostatnie miejsce ich schronienia i mogli razić obrońców z lewego brzegu rzeki to jest z tyłu. W tej chwili uniwersytet, pod który podłożono 15 centnarów prochu wyleciał w powietrze ze strasznym hukiem, a Francuzi rzuciwszy się na obrońców zajęli wejście do Corso z obu stron jego. W centrum miasta, najdalej za dzień można było wysadzić w powietrze środek Corso.

Po upadku większej części przedmieścia wytrwałość obrońców stolicy musiała osłabnąć, bo już tylko trzecia ich część trzymała się na nogach. Palafox umierał. Ze 100 tysięcy mieszkańców i wojska, które się tu zamknęło przed dwoma miesiącami 54 tysięcy zginęło. Trzecia część domów leżała w gruzach.

Aby nie przechodzić wielkiej przestrzeni pod strzałami Hiszpanów, Francuzi zaczęli podkładać tylko takie miny, które były dostateczne do utworzenia wyłomu w murze. Posuwając się tak naprzód ku klasztorowi dziewic jerozolimskich minerzy francuscy zauważyli, że Hiszpanie także podminowują klasztor ze swojej strony. Pośpieszyli więc z nabiciem swojej miny i zapaliwszy ją nietylko pogrzebali Hiszpanów w ich minie, lecz i otworzyli wyłom w klasztorze.

Wpadłszy do wyłomu żołnierze wykłuli obrońców lub zabrali ich w niewolę, i zaraz zaczęli pracować, aby zrobić wyłom w domu waryatów, który na drugi dzień także wpadł w ich ręce. Z lewej strony Francuzi posuwali się ku olbrzymiemu klasztorowi św. Franciszka, po wzięciu którego znaleźliby się na Corso. Po wzięciu każdego domu, potrzeba było natychmiast przysposabiać go do obrony i stawić strzelców na tych miejscach, które poprzednio zajmowali Hiszpanie, żeby odstrzeliwając się strzelcom siedzącym w sąsiednich domach dać możność minerom pracować z nieco większym bezpieczeństwem, bo robota ziemna w takich okolicznościach jest bardzo niebezpieczna i powolna. To też liczba francuskich inżynierów malała codziennie.

W tymże czasie posuwano się naprzód od prawego skrzydła. Dzięki zręczności swoich inżynierów Francuzi wysadzili w powietrze klasztor św. Moniki i św. Augustyna razem z ich obrońcami, w chwili gdy miny Hiszpanów już były gotowe. Zączęto więc iść na Corso wzdłuż ulicy św. Moniki i św. Augustyna, atakując dom za domem.

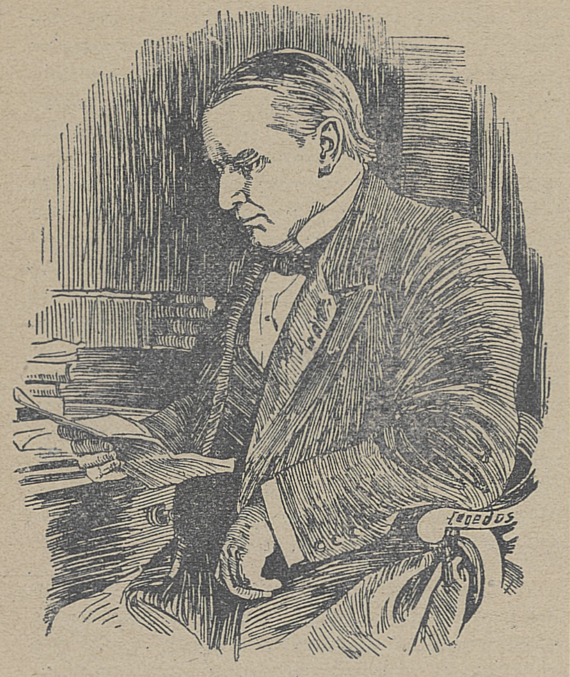
Hiszpanie dla powstrzymania wrogów, którzy pomału lecz nieustannie zbliżali się do środka miasta, zaczęli sami podpalać domy, które zawierając mało drzewa paliły się powoli, lecz napełniając pokoje gryzącym dymem nie pozwalały Francuzom iść naprzód, dopóki pożar się nie skończył, przez co bardzo utrudniali i opóźniali pracę oblężenia i bez tego ciężką. Francuzi więc musieli posuwać się naprzód kopiąc korytarze podziemne, lub kryjąc się za workami ziemi, które przynosili z sobą, Lecz pierwsi ludzie, którzy się pokazywali, nim to przykrycie było urządzone, padali zabici lub ranni.

Straszne to były dni dla oblegających i dla broniących się, bo jedni i drudzy musieli rozwijać niezmierną zręczność, śmiałość i wynalazczość, minując i kontrminując nieprzyjaciela, rzucając się na bagnety, lub rozstrzeliwając się wzajemnie, a niekiedy walcząc na noże lub jak dzikie zwierzęta na zęby i na pazury. W tych ciągłych walkach, dzięki swemu sprytowi i wynalazczości, Francuzi odnosili zwykle korzyści, lecz i oni codziennie tracili najmniej sto ludzi w zabitych i rannych. Nieszczęśliwi Hiszpanie atakowani z jednej strony ogniem i żelazem, z drugiej zarazą, codziennie posyłali 400 ludzi do szpitali. Jenerał francuski Lacosta, dowódca robót oblężniczych, w jednej z takich walk został zabity kulą w czoło. Dwa tygodnie trwała ta walka nieustanna.

7 lutego jenerał Garan odkrył ogień z 20 dział przeciwko klasztorowi P. Jezusa, leżącemu niedaleko od rzeki Ebro, którego wzięcie mogło oddać całe przedmieście w ręce Francuzów. Gdy wyłom był już gotowy, Francuzi rzucili się do ataku na klasztor broniony przez 400 hiszpanów i wykłuwszy obrońców stali się panami budynku, lecz próba posunięcia się ku Ebro przez miejscowość otwartą nie udała się, tak jak i w innych miejscach i Francuzi byli odparci ogniem z domów i kartaczami z barykad. Potrzeba więc było na nowo zacząć kopanie rowów, aby się zbliżyć do następnego klasztoru św. Łazarza, który przypierał do rzeki i stał w miejscu bliskim do wielkiego mostu, łączącego oba brzegi rzeki. Aby przyspieszyć ten rezultat, resztę artyleryi oblężniczej prawego brzegu Lanee wysłał do Garana.

Walka w mieście trwała dalej z tą samą zaciętością, z tą samą energią, chociaż dla jednej i dla drugiej strony nastąpiły straszne cierpienia. Epidemia w Saragossie spotężniała i już więcej jak piętnaście tysięcy z tych, którzy bronili miasta poszło do szpitali. Spokojna ludność marła tysiącami. ale na nią nikt nawet uwagi nie zwracał. Nie było komu grzebać trupów ani podejmywać rannych, ciała zabitych gniły pod gruzami, napełniając powietrze okropnym fetorem, a dwie trzecie domów miasta było podziurawione kulami, zalane krwią i zatrute okropnymi wyziewami gnijących ciał, ofiar nieograniczonej pychy i dumy jednego człowieka.

Obrona miasta posłała 19-go lutego parlamentarza, prosząc Lanea w imieniu Palafoxa o dozwolenie wysłania emisaryusza, aby się przekonać czy rzeczywiście armia hiszpańska wszędzie rozbita i że obrona dalsza miasta jest bezużyteczną. Lanne zaręczył im słowem honoru że



WILIAM MAC-KINLEY.

wszystko to jest prawdą, dodając, że słowa nigdy nie dawał napróżno i dla żadnego wybiegu, żądał więc poddania się bezwarunkowego, grożąc że w razie oporu wysadzi na drugi dzień cały środek miasta w powietrze.

Dnia 20 lutego junta pojawiła się w obozie i zgodziła się na poddanie miasta. Postanowiono że cały garnizon wyjdzie przez główną bramę Portiko i tam złoży broń, zostając więźniem Francuzów, jeśli nie zechce przejść na służbę króla Józefa.

Na drugi dzień, 21 lutego, dziesięć tysięcy piechoty, dwa tysiące kawaleryi, mnisi, mieszczanie i dzieci wynędzniali, obdarci, pokryci krwią i ranami, defilowali przed zwycięzcami, którzy zadrżeli z podziwu i nie mieli serca cieszyć się ze zwycięstwa.

Francuzi także ponieśli straty ogromne. Z 14 tysięcy, które było użyte do oblężenia, zginęło około czterech tysięcy żołnierzy i mnóstwo oficerów.

W historyi najnowszych czasów nie spotykamy przykładu tak wytrwałej, tak zaciekłej i prawdziwie zadziwiającej obrony. W starożytności wspominają o świetnej obronie Syrakuz, Numancyi, Saguntu i Jerozolimy, ale i te nie mogą iść w porównanie, bo środki zniszczenia, które posiadali starożytni nie były na połowę nawet tak straszne, jakiemi rozporządza nasz wiek cywilizowany. Z tym uczuciem jak niegdyś chodziłem po miejscach gdzie się znajdowały prochy Scypionów i Gracchów, stąpałem i po tych ulicach, zroszonych krwią tylu tysięcy bohaterów, którzy woleli umrzeć jak pójść pod jarzmo niewoli. Zdawało mi się, że depczę po świeżej mogile męczenników i mimowolnie chciałem odkryć głowę przed dziećmi bohaterów, którzy dali przykład tak piękny, jak należy spełniać obowiązki swe względem ojczyzny. Byłem potem osobiście w oblężonych miastach i ciężko dotkniętych zniszczeniem, ale ani wojsko ani mieszkańcy nie spełnili nawet w małej części tego, co zrobili Hiszpanie. Obrona tych miast była bierna ale nie czynna i dlatego miasta, znakomicie ufortyfiowane i uzbrojone padały nie wytrwawszy nawet tylu dni, ile wytrwała otwarta ze wszystkich stron Saragossa.

J. O. HANZEN.

MODEL.

(Dokończenie).

Wielka sala, oświetlona mnóstwem okien, w tej chwili szczelnie zakrytych gęstemi zasłonami, pełno draperyi, posągów, obrazów, cacek... szkieletów parę, na podłodze kosztowne dywany i maty. Jan wstrzymał oddech, wzniósł rękę z latarką i większe jeszcze ujrzał dziwy.

Oto na jednym z obrazów potwór czy człowiek z jednem okiem, które patrzało, ach! aż krew stygła. Tu trup powstaje z grobu, a napis głosi: „Obudzenie żywcem pogrzebanego", tu kadłub bez głowy



TEODOR ROSSEVELT
Zastępca prezydenta Stanów Zjednoczonych.

z napisem: „widzenie świętego" ! Za wiele wrażeń przyniósł dzień dzisiejszy. Biedny Gillot drżał, zimny pot wystąpił na czoło, wszystko kręciło się z nim... „To piekło"! szepnął. Głód i zmęczenie dokonały reszty z krzykiem strachu i rozpaczy runął na ziemię, tłukąc wszystko na okół.

Na odgłos tłuczonych przedmiotów w domu powstał ruch i krzątanie, zapalano światło. Za chwilę otwarły się z łoskotem drzwi od pracowni i trzech mężczyzn napół ubranych pokazało się na progu.

— Na Boga, złodzieje w pracowni! krzyknął jeden z nich.

— Co znowu, odrzekł spokojny głos, czyżby zamiast na moje pieniądze, na obrazy byli amatorowie? I do pracowni wszedł niewielki mężczyzna o pięknej artystycznej głowie, okolonej lokami, niedbale spadającemi na jedwabny szlafrok; blady był i miał niespokojne nerwowe ruchy.

— Tak jest, panie, mówił dalej ten sam mężczyzna.

Mały człowiek postąpił parę kroków w głąb pokoju.

Jan stulony, drżący od nocnego chłodu, z szeroko rozwartemi źrenicami, nędzny, oddarty, przedstawiał raczej uosobienie nędz ludzkich, niż zbrodni.

— Łaski, litości, bełkotał, pierwszy raz przysięgam, puście mnie, nie uczynię tego więcej.

Służba odpowiadała mu ironicznym śmiechem.

Mały człowiek wpatrywał się w Jana z coraz większym zajęciem, ba zachwytem.

— Panie, patrz oto większe szyby potłuczone, lustra w kawałkach, wazony w skorupach, co tu szkody! — biadał lokaj.

— Głupstwo, kupi się inne, nieprzeszkadzajcie mi... cudowne! woła, boskie! nic lepszego nie znajdę.. Światła! wszystkie kandelabry zapalić... ołówka, papieru! co za głowa! podobnej mogę nie znaleść, jak stworzona do mego dzieła: „Głód, obłęd i zbrodnia", nie, stanowczo mam szalone szczęście i rysuję szybko.

— Panie Wiertz, czy mam zawiadomić policyę? pyta lokaj.

— Co znowu, na co, zatrzymam go sam, jest mi potrzebny.

— Ależ panie?

— Zostaw, proszę, zbudź kucharkę, każ mi dać jeść, przygotować mi łóżko, kolosalna głowa! co za typ! co za wyraz! a mam cię, myśli moja! ptaku nieuchwytny, trzymam cię przecież!

— Jak się nazywasz?

Włóczęga szepce swoje nazwisko, mówi o swojem położeniu, o nędzy życia

— Dosyć, rozumiem, jesteście głodni i zmęczeni, wybornie, nakarmię was, zamieszkacie na poddaszu, ofiaruje wam dziesięć franków dziennie, jeżeli zechcecie jakiś czas pozostać u mnie.

Jan traci możność wyrażenia słowami swej wdzięczności, mówi coś bez związku, jąka się. Dobrze, już dobrze, kończy malarz, składając swój rysunek, teraz marsz! jeść i spać.

Jan szepce zasypiając: Jeszcze żaden początkujący przy pierwszym debiucie nie miał tyle szczęścia co ja.

* * *

Antoni Józef Wiertz liczył wówczas 44 lat wieku i był w swoim rodzaju geniuszem. Początkowo poświęcił się studyowaniu i naśladowaniu Rubensa, wkrótce jednak odnalazł własną drogą i odtąd kroczył po niej odważnie. Obrazy jego nie miały nic, coby przypominało dawnych lub współczesnych mistrzów, były na wskroś oryginalne, Miano go za waryata. Nie pierwszy to geniusz ulegał temu losowi...

Bogaty, niezależny nie malował dla zarobku, kochał sztukę, żył nią i dla niej, kochał ludzi, odczuwał ich nędzę, upamiętniał ją na płótnie.

Napróżno znudzeni anglicy, zbogaceni amerykanie ofiarowali mu bajeczne sumy, był niewzruszonym, gromadził swoje dzieła w podmiejskim pięknym domu.

Znakomity twórca: „Obudzenia się żywcem pogrzebanego", „Widzenia świętego", „Napoleona w świecie podziemnym".



EMMA GOLDMANNÓWNA.

„Głodu, obłędu i zbrodni“ i wiele innych zmarł 1865 roku, zapisując swoje obrazy krajowi, z zastrzeżeniem nieporuszania ich z miejsca, nazywając to „moje muzeum“. Nazwa ta pozostała na zawsze. „Muzeum Wiertza“ przyciąga licznych malarzy, poważnie i z zamiłowaniem traktujących sztukę.

Gillot pozostał dłuższy czas w domu malarza; co niezdziałało trzydzieści domów poprawy i więzień, dokonał wpływ szlachetnego człowieka. Gillot wyszedł odrodzony z pod jego dachu, udał się do Antwerpii, gdzie nie był znany nikomu i przyjął miejsce robotnika w porcie; pracował odtąd sumiennie i wytrwale.

Wacław Wolski.

UCZTA UPIORÓW.

Już się ma pod koniec starożytnemu światu.
Z. Krasiński.

Obiit XIX. natum est XX

...Dwunasta wybiła. Znów dzwonią puhary,
Stół złoty, owalny, upiory czerwone
Obsiadły dokoła, napoły uśpione,
Przekleństwem pijanych pożegnać wiek stary...

Błyszczały ścian czarne lustrzane granity;
Przeróżnych kolorów owalne lampiony
Rzucały dokoła tęczowy blask śćmiony...
Na twarzach upiorów złość, ból był wyryty...

W niedbałych też pozach siedzieli na ławach
Ze srebra, złocisty płyn lejąc z puharów...
Strop czarny podpierał rząd czarnych filarów,
Błyszczących granitem na czarnych podstawach..

Upiory krzyczały naprzemian: „Hej wina!“
Nadziei, dogmatu, pewności, rozkoszy!
Znów tragizm istnienia sen z powiek nam płoszy“..
Bezładne okrzyki wydaje drużyna...

W powietrzu tęczowem brzmi nastrój rozpaczy
Bezdomnych, nieszczęsnych pijanych szaleńców,
Normalnej ludzkości piekielnych odmieńców,
Co czują, co myślą, co cierpią inaczej...

Błyszczały tęczowo przyćmione lampiony,
Pijanych upiorów lśnią oczy zamglone,
A bólem skrzywione ich twarze czerwone
Omraczał złych przeczuć cień szary, srebrzony.,

. . . .

Noc ciemna zagląda przez szyby z kryształu
Oczami gwiazd złotych, zmrużonych figlarnie,
W sumieniu upiorów, w ich piersi trupiarnie,
Gdzie próżnoby szukać choć iskry zapału...

Do czarnej, sklepionej gotyckiej komnaty,
Gdzie błyszczy lustrzany chór czarny, gdzie blaty
Złotego lśnią stołu, lamp smuga tęczowa,
Zagląda gwiazdami noc mroźna, styczniowa...

Hej, z czupryn upiorów dymiący war bucha,
Wzrok mętny przesłania marzenia mgła złota..
Czerwieńsi na ławach już legli bez ducha,
Pijących ogarnia nieznana tęsknota..

W ich głowach piekielnie chichocą puszczyki
W ich piersi lodowniach zawyły brytany...
Niech zgłuszą sumienia akordy muzyki!
Buchnęły na chórze złociste organy...

. . . .

Zagrały organy, jak w ciemnym kościele
Gotyckim. gdzie błyszczą barwione wirtraże,
Gdzie słodkie profile, aniołów lśnią twarze...
Gdzie błyszczą w półmroczu złociste piszczele...

Przed wielkim ołtarzem, w błękitnym obłoku
Kadzideł — płomieni świec miga tysiące...
A tłumy pobożne szarzeją w półmroku,
Wsłuchane w orkiestry złocistych trąb grzmiące...

Zagrały organy, jak w ciemnym kościele,
W gotyckiej z czarnego granitu komnacie...
W tęczowem lam świetle pijane postacie...
Czerwonych upiorów dyabelskie wesele...

. . . .

Pieściwy dźwięk słodkiej kościelnej muzyki
Rozpylał się w tęczach płonących lampionów,
Jakgdyby kryształne aniołów fleciki
Wzbijały tumany dźwięcznych wibryonów...

Jakgdyby śnieżyste skrzydlate cheruby
Płakały rzewliwie nad nędzą istnienia...
Perłami łez rzęsił powietrze płacz luby
Nad lśniącym owalem złotego pierścienia...

Lamp barwne płomienie... owalny stół złoty...
Na dłoniach upiory oparły swe czoła...
Melodya pajęcza, jak tchnienie anioła...
A w sercach wampiry śmiertelnej tęsknoty...

Dr. K. HERTZ.

Pogadanka naukowa

Statki podmorskie

Więcej niż kiedykolwiek, kwestya żeglugi podmorskiej zajmuje obecnie uwagę wszystkich tych narodów, których potęga i dobrobyt zależą od silnej floty i posiadania bogatych kolonij. Na czele wszystkich ludów, dążących do zbudowania floty podwodnej, stoi Francya. Nic więc dziwnego, że najwięksi dygnitarze państwa zajmują się tą kwestyą. Dnia 7 stycznia r. b. przybyli do Cherbourga: minister wojny André i minister marynarki Lanessan, aby osobiście się przekonać o użyteczności zbudowanych dwóch statków podwodnych Morsa i Navala. Na pierwszym z nich zanurzył się w głębie oceanu André a na drugim Lanessan. Był to chyba pierwszy wypadek po fantastycznym kapitanie Nemo, z opowiadania Juliusza Verne'a, aby dyplomaci powierzyli swoje drogocenne życie statkowi podobnego rodzaju a jednak wyszli bez szwanku z tej imprezy.

Obecnie, gazety donoszą o ważnym wypadku, mającym niezmierną doniosłość tak dla taktyki przyszłych wojen morskich. Jakoż twierdzą, że podczas ostatnich manewrów floty francuskiej, udało się podwodnemu statkowi „Gustav Zédé“, przejść niepostrzeżenie wśród manewrujących okrętów i jeden z nich uszkodzić w ten sposób, że do dalszej akcyi stał się niezdatnym. Za przykładem Francyi, poszły i inne wielkie mocarstwa, jak: Ameryka Włochy a w ostatnich czasach i Anglia, która bardzo gorliwie zajęła się tą kwestyą i zbudowała kilka statków, według systemu amerykanina Hollanda. Cesarstwo niemieckie przez długi czas nie wierzyło w praktyczność podobnych statków, obecnie jednak zaszła radykalna zmiana w zapatrywaniach wyższych władz morskich. Rzecz jasna, że podobne statki przedewszystkiem mają pierwszorzędne znaczenie dla marynarki wojennej, mogą jednak oddawać ważne usługi i marynarce cywilnej, gdyż żegluga w głębi oceanu nie potrzebuje się obawiać burz, które dość często stają się przyczyną katastrof. Wprawdzie, przesadzone się nadzieje tych, którzy sądzili, że można będzie odbywać podróże w głębiach oceanu, pomiędzy Europą a Ameryką, ale za to nie ulega najmniejszej wątpliwości, że bardzo łatwo odbywać będzie można podróże podwodne przez kanał Lamanche, w którym panujące mgły, są bardzo niebezpieczne dla żeglugi.

Wszystkie dotychczas zbudowane statki podwodne dzielą się na różne typy, stosownie do warunków żeglugi i siły poruszającej. Musimy tu dodać, że żaden ze statków tych nie jest ciągle zanurzonym w wodzie, gdyż one zanurzają się tylko wtedy, gdy zachodzi konieczna potrzeba, to jest: one więcej są podobne do ptaków morskich niż do ryb. Czynność zanurzania odbywa się wpuszczając do dolnej części statku wodę za pomocą pomp, poruszanych motorami. Statki te dzielą się: 1) na podwodne właściwe, które prawie całkiem znajdują się pod wodą. wystawiając na zewnątrz małą tylko część pokładu lub maleńką wieżyczkę służącą do obserwacyi otoczenia; 2) na torpedowce podwodne, które w warunkach normalnych pływają tak, jak wszystkie inne okręty a tylko wobec wroga, którego zaczepić mają, zanurzają się w wodzie; nakoniec 3) na statki zanurzające się, które bezpośrednio przed atakiem, prawie całkiem zanurzają się w wodzie. Do poruszania statków podwodnych używamy motorów już to wyłącznie elektrycznych, już też jednocześnie i elektrycznych i gazowych, lub parowych; są też takie statki o motorze wyłącznie gazowym lub wyłącznie parowym. W ostatnich czasach, prawie wszyscy specyaliści są zdania, że statki właściwie podwodne, należy poruszać siłą elektryczną wyłącznie, że torpedowce powinny posiadać motory elektryczne i gazowe, lub parowe; nakoniec statki trzeciego typu powinny mieć motor gazowy, albo też parowy. Nietrudno zrozumieć przyczynę tego wyboru. Dla żeglugi podwodnej najlepszym motorem jest ten, który przy najmniejszej objętości i wadze, rozwija największą siłę i pozwala na najdłuższy pobyt pod wodą, bez uciekania się do pomocy innego źródła sił. Takim motorem jest parowy a w wyższym jeszcze stopniu benzynowy. Mniej odpowiednim dla statków podwodnych jest elektryczny, który wymaga ciężkich akumulatorów, nie zawsze dobrze funkcyonujących. Z drugiej zaś strony, taki motor posiada nieoceniony dla żeglugi podwodnej przymiot — nie wydziela ani dymu, ani widocznych gazów, któreby mogły zdradzić miejsce pobytu statku. Co więcej, taki motor nie potrzebuje zapasu materyału opałowego i nie ogrzewa otaczającego powietrza. Z tego to powodu, statki podwodne właściwie poruszane są siłą elektryczności. Torpedowce podwodne mają dwojakiego rodzaju motory: elektryczny dla ruchu podwodnego, gazowy lub parowy, dla ruchu na powierzchni wody i dla nabijania akumulatorów.

Co do oceny wartości trzech typów statków podwodnych, dodać należy, że statki pierwszego typu są najpewniejsze ale za to służą tylko do obrony brzegów, gdyż nie mogą się oddalać na większą odległość. Statki drugiego typu, z powodu swej części nadwodnej, narażone są na pociski nieprzyjacielskie, ale za to mogą wykonywać wszystkie potrzebne ewolucye z największą dokładnością i przez to wyrządzać ogromne szkody eskadrze nieprzyjacielskiej. Statek amerykański Katadin jest największym tego typu i opatrzony jest w straszną ostrogę. Nakoniec, według powszechnej opinii wszystkich marynarzy, najużyteczniejszymi statkami są torpedowce, które nietylko służą do obrony brzegów, lecz stanowią jeszcze straszną broń, gdy chodzi o atak na eskadrę nieprzyjacielską.

Kończąc ten artykuł, musimy jeszcze wspomnieć, że początkowo przy budowie statków podwodnych, napotykano wielką trudność odnośnie do busoli, gdyż ściany żelazne statków wywierały peturbacyjne działanie na igłę magnesową. Trudność ta usuniętą została za pomocą bardzo dowcipnego pomysłu. Drugą trudność, polegającą na braku powietrza, również usunięto, zabierając z sobą znaczną ilość ścieśnionego powietrza, lub też czystego tlenu. Ponieważ jednak doświadczenie wykazało, że kwas węglany, wdychany przez osadę statku, wywiera szkodliwe działanie, zatem starano się usunąć ten gaz za pomocą substancyj, pochłaniających kwas węglany. W ostatnich czasach jeden z chemików francuskich wynalazł substancyę momentalnie usuwającą kwas węglany, skład jednak chemiczny jej jest tajemnicą stanu.

Tadeusz Ulanowski.

MILA.

Skończyła gimnazyum ze złotym medalem. Na jej patencie wszystkie przedmioty ujęto w wielki pionowy nawias i na jego prawą stronę „wyrzucono“ ogromną, kształtną piątkę. Obecnie daje lekcye i utrzymuje starych rodziców. Matka dokłada do tego zarobek z szycia, a ojciec ślepy nic nie robi.

Mila ma brata dwudziestoczteroletniego, który pisuje u jakiegoś prawnika i uważa się za początkującego literata.

Antek zupełnie rodzicom nie pomaga, owszem, często pożycza pieniądze od siostry i jak dotąd punktualnie zwraca, z czego jest dumny niepomiernie.

Mila nazywa go próżniakiem, ma przytem do niego szczególny żal za to, że nic nie robiąc, jej pracy nie ocenia i często z nią się kłóci.

Zwłaszcza ma do niego pretensyę za to, że nie umiał, czy nie chciał uszanować tej radości, którą jaśniała po otrzymaniu patentu. Mila dzisiaj rozumie i czuje doskonale, że piątki do niczego w życiu nie obowiązują, ale był czas, gdy z uczuciem radości i starannie ukrywanej dumy spoglądała na pergaminowy arkusz z piątką.

— Wiesz co, rzekła kiedyś do Antka, taki patent można pod pewnym względem uważać za brzydki: jakiś pośpiech widać w tym nawiasie, jak gdyby za te piątki chciano mnie jak najprędzej z oczu stracić — do domu wyprawić.

Antek z wyciągniętemi nogami siedział w starym fotelu i pogwizdywał.



Max Nonnenbruch: EGIPCYANKA.

— Powiedz mi, Antku — spytała figlarnie — ile też dwójek otrzymałeś w gimnazyum, tak, mniej więcej?

— Wiesz co, Mila — odpowiedział — pokaż ty mi jedną, tylko jedną uczciwie zarobioną dwójkę, to dopiero będę z tobą gadał.

— Możesz się nie fatygować.

Puściła jedną ręką arkusz, który się skręcił w rurę, a w chwilę potem zręcznie podrzucony spoczął na szafie...

Obecnie, mając sześć lekcyj dziennie, zarabiając 90 rubli miesięcznie, nie myśli o swym patencie, a przynajmniej nie zdejmuje go z szafy.

Jednak pozostał w niej pewien żal do brata za to lekceważenie.

— Nie wątpię — mawiała — że wszystkie stopnie są głupie, ale żeby dwójki miały dowodzić mądrości...

— Ależ, nie mądrości i nie, jako dwójki! — wołał Antek. Owszem, niech będą piątki, ale one rozumu dopiero przy dwójkach nabierają! Rozumiesz: w poniedziałek — dwójka, we wtorek ze strachu parę razy przeczytałem — piątka, we środę — pała, bo nie mam wcale książek. Oczywiście, na cenzurę nie mogę mieć więcej nad trójkę, no, ale w tej kolejce coś jest, jak Boga kocham!...

— Jest, jest... lenistwo!

— No, oczywiście, lenistwo musowe, chociażby, jako odporność względem szablonu.

— Tak, szablonu, naprzykład takiego, żeby kupić rodzicom obiad — codzień jednakowy.

— Chyba sama rozumiesz, że ta kwestya nie ma nic wspólnego ze zdolnościami.

— Tak, ale z sercem...

— Masz tobie, od piątek do serca: wasza kobieca logika, to prawdziwa „rundreise“: w drodze do Pesztu mówi się: jadę do Wenecyi. Niby to wiecie, czego wam potrzeba, ale w danej chwili brak w tem wszystkiem ścisłości.

— Przestań Antek, proszę cię! Kiedy zaczniesz dopłacać pięć rubli na wspólne wydatki?

— Jeszcze nie teraz. Ale wiesz co? Uważam, że z tych moich ewentualnych zarobków moja pani siostra zrobiła dziwną broń. Ilekroć uda mi się dowieść, jak marnemi są twoje gimnazyalne powodzenia i jak dalece twój nawias na patencie odcina cię od szerszego świata, ty zawsze wówczas wytykasz mi brak pieniędzy. Czy to logiczne i czy to serca dowodzi, moja Milu?

— Nie mów do mnie w ten sposób, bo cię znienawidzę!

— A więc prawdziwem jest moje odkrycie.

— Szelma! — krzyknęła Mila i uderzyła w płacz.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. ANTONI ZŁOTNICKI.

W obronie subjektywizmu.

Marya Czesława Przewóska: „Z nowych dni". Syntetyczny zarys końca wieku.

(Dokończenie).

Wiedza naukowa była i jest pozytywną i pozytywną zawsze będzie, nie może bowiem być inną. Wiedzy tej chodzi o poznanie mechanizmu natury, w mechanicznej bowiem postaci rozumowi świat się przedstawia. Wiedza naukowa, przedmiotowa — a więc oczywista dla wszystkich — jest przeciwieństwem wszelkich sądów podmiotowych, indywidualnych. Niema przed nikim żadnych tajemnic. Wiedza nowa, o jakiej marzą niektórzy subjektywiści, nie może być naukową, lecz właściwie pewnym zbiorem nowych wierzeń (odgrzebanych przeważnie z przeszłości). Wiedza „oficyalna", przedmiotowa z taką wiedzą podmiotową niema nic wspólnego, nie dadzą się więc one z sobą zsyntetyzować. Należy to do dziedziny wiecznych marzeń.

P. Przewóska zbyt tragicznie ocenia zatarg współczesny pomiędzy światem rozumu a światem uczuciowości, zbyt melancholijnie odczuwa rozdźwięk pomiędzy tem, co jest a tem, co być powinno. „Wiedza i życie wstąpiły w okres monstrualnych przeciwieństw; dokoła leją się łzy, krew strumieniami płynie a jęki dusz uciśnionych, dreszczem grozy wstrząsają niebiosy". „Dusza swe prawa ostatecznie odzyszcze". Męcząca walka z „trzeźwo-myślącym" rozumem pozytywizmu, „której byliśmy adoratami, stargała nam serca, zszarpała nerwy, w sposób przeboleśny, tragiczny. To też jesteśmy pokoleniem chorem, noszącem w swem łonie i śmierć wczorajszych bożyszcz i życie nowych bóstw we wzlotach naszej odradzającej się duszy". „Dla przeczulonych, wynaturzonych nerwów naszych, walka była za silna". „Stać nas zaledwie na jęk rozdźwięcznej męki, na goryczy ducha ból świeży... Własną swą dłonią wznieśliśmy dopiero wysokie kopce mogił dla pysznych potęg naszego Rozumu, więc zlewamy jeszcze te kurhany obfitą łez rosą." (str. 9—12).

Pogrzebowe pieśni p. Przewóskiej nad konającym jakoby pozytywizmem — są przedwczesne. Wiedza pozytywna nie umiera, nie traci swego blasku; postępując w swym rozwoju, nabiera go więcej jeszcze. Ilość pracowników w różnych dziedzinach wiedzy pozytywnej ciągle się zwiększa, równolegle zaś z tem ilość wogóle pozytywnie wyślących umysłów. Słusznie zaznacza p. Przewóska, że uczuciowość ma swe wymagania, że cyfry nauki nie mogą zaspokoić jej potrzeb. Ależ nauka nigdy nie zaspokoi potrzeb uczuciowej strony człowieka, bo ich zaspokoić nie może. Uczuciowość posiada swoją dziedzinę, w której panuje wszechwładnie: dziedzinę religii i sztuki filozoficznej, estetycznej i etycznej. Tutaj subjektywizm znaleźć może zaspokojenie swych potrzeb i najczęściej je znajduje. Nie trzeba więc mieszać dwóch odrębnych dziedzin z sobą, skoro istnieje wyraźna pomiędzy niemi granica. Nie trzeba wymagać, ażeby nauka chwytała drgnienia Absolutu, gdyż z Absolutem niema i nie może mieć nic wspólnego, jak również nie trzeba żądać, ażeby sztuka i religia wyrzekły się Absolutu, skoro ów Absolut uczuciowości ludzkiej jest potrzebny. Nie możemy żyć wyłącznie ani rozumem, ani też uczuciem, jedna i druga strona umysłu żyć pragnie; może być tylko przewaga w życiu naszem tej lub owej strony.

P. Przewóska jest przeciwniczką realizmu w sztuce. Nie podoba się jej „szary smutek szarego tła życia, mający swe ujęcie w szarej literaturze realistycznej dni naszych"; woli widać ponure nastroje dedadentów z beznadziejnością często idące w parze, przypisując im „dar wlewania do serc zbolałym otuchy". Nam się zdaje, że estetyczna wartość dzieł sztuki nie zależy od tego, czy realistyczna, czy też idealistyczna twórczość dała im początek. Barwa budzonych przez nie nastrojów również od tego nie zależy.

W rozdziale: „Fryderyk Nietzsche jako moralista i krytyk", poświęconym „duchom samotnym a tęsknym", p. Przewóska podnosi i uwydatnia te strony idei Nietzschego, które mają w sobie wartość etyczne postępowego czynnika rozwoju myśli współczesnej". Aczkolwiek nie zalicza się „do falangi bezkrytycznych wielbicieli Nietzschego", aczkolwiek dzieła jego uważa za wytwór wyobraźni poetyckiej, nie zaś za spoistą budowę myśliciela, to jednak dość entuzyastycznie dlań jest usposobioną. W aforystycznych jego pismach znajduje „myśli zdumiewającej głębi i polotu" obok lichych sentencyj i zboczeniem umysłowem tchnących paradoksów. Sama powiada, iż geniusz z obłędem walczył całe lata w mózgu Nietzschego. Jak więc odgraniczyć wobec tego wytwory jednego i drugiego, jak oddzielić chorobliwe majaczenia od „wspaniałej świetności błyskawic geniuszu przepaścistej ducha tego głębi" — ziarno, mogące byc trującem dla wielu, od zdrowego? P. Przewóska uważa Nietzschego „za jednego z najpotężniejszych pogromców anarchizmu ducha; nigdy zaś za siewcę tegoż a wpływ tego myśliciela odnośnie do anarchistycznego wstecznictwa wogóle, za wpływ dodatni i pożądany". Widzi ona w nim „potężną maczugę, zdolną zmieść z widowni świata ohydnego potwora anarchizmu, grożącego kulturze naszej zagładą". Wpływ Nietzschego na umysły współczesne byłby inaczej niezrozumiałym i „nie da się inaczej logicznie upodstawić" (str. 212).

Nietzsche jest dla p. Przewóskiej czemś w rodzaju Mesyasza „który na umiłowanym przez się ołtarzu wybawienia ludzkości od zupełnego skarlenia, własną swą położył głowę" (str. 223).

Krytycy skrzywdzili go, postąpili z nim bez litości. „Zrobiono go antychrystem. W gruncie rzeczy, pomimo wszelkich pozorów, on nim nie był". A jednak był nim, jak to sam wyraźnie zaznaczył w ostatniej swej pracy: „Antychryst". „Nieprzyzwoitością jest być dzisiaj chrześcianinem" — są jego słowa. Chrystusa uważał za wroga ludzkości. Słusznie zaznacza p. Przewóska, iż Nietzsche nie rozumiał dostatecznie ideałów etyki chrystyanizmu i że bezzasadnie uważał jednostkę ludzką za punkt środkowy świata, za coś, co z naturą po za nim istniejącą nie ma nic wspólnego. Niesłusznie jednak dopatruje się w nim konsekwencyi w jego apoteozowaniu siły fizycznej i żądaniu najwyższej żywotności duchowej, w jego woli mającej być swem prawem i dążeniu jej jedynie ku dobru. Jeżeli nadczłowiek tylko dobra chcieć może, to czyż powinien odmawiać tłumom ludzkości prawa do szczęścia? Co jest właściwie dobrem? Sam Nietzsche powiada: „Co dobre a co złe, tego nikt jeszcze nie wie". Swem uwielbianiem okrucieństwa, Nietzsche odbiega daleko od dążeń humanitarnych dzisiejszych czasów, od wzniosłych ideałów wszechludzkich. Przedstawia się on całej kulturze nowożytnej, protestuje przeciw pracy rozwojowej wielu wieków, on, prorok, nadczłowiek, Bóg jedynie jasnowidzący, jedynie nieomylny. Nie był to geniusz, kwiat ludzkości, ale właściwie podcięty w swej żywotności, skazany przez naturę żywiołową, którą sam tak apoteozował, na zagładę a jednak pragnący pełni życia marzyciel bezsilny.

Ponad czysto rozumowe badania, właściwe umysłowości męskiej, p. Przewóska stawia wyżej intuicyę, nazywając ją także świadomością transcendentalną, którą odznaczają się asceci, wielcy wizyonerzy ducha, poeci-wieszcze, geniusze dzieci („tak często cudowne") i „najbardziej w cechy kobieciości bogate — kobiety". Intuicya ma być właściwością duszy kobiecej. „Z natury swej kobieta jest wizyonistką tem genialniejszą, im więcej ma w sobie cech kobiecości, czyli im bardziej intuicyjnie wpatrywać się jest zdolną w wielkie oblicze zagadki bytu, „Istoty rzeczy", Wielkiej Niewiadomej", im widoczniej reaguje nazewnątrz na tajemnicze wewnętrzne sygnały „Nieznanego", w niej i po za nią żyjącego wiekuiście, im mniej świadomie wpływy tegoż wyczuwa... (str. 239). „Prawdziwa kobieta... mieć będzie w sobie zawsze coś „nadziemskiego"... a nadziemskość ta to pewna właściwa naturze jej zdolność przebywania w świecie wewnętrznym duszy, pełnym wizyj nieuświadomionych", przeczuć, obaw i lęków, skłonności do przywidzeń, urojeń, zmienności uczuć, „dla zdrowo patrzącego na rzeczy mężczyzny niezrozumiałych".

Jak widzi czytelnik, książka p. Przewóskiej jest zbiorem rozprawek na argumentacyi wyłącznie podmiotowej, mówiąc zaś jej językiem: „intuicyjnej", opartych. Rozbrzmiewa w niej głos buntu szlachetnego serca przeciw ujemnym stronom dzisiejszej kultury, lecz bunt ten łagodzony zostanie brzmieniem nadziei lepszych czasów. Pośród zbyt obficie rzuconych ciemnych barw na teraźniejszość, widnieją promienie jasnej przyszłości. Nie jest to „syntetyczny zarys końca XIX wieku", ale obraz duszy autorki, sformułowanie jej wiary filozoficznej.

Nowe książki.

Dr. L. Taussig. **Dziecko do lat dwóch.** Rady i wskazówki dla matek przy odżywianiu i pielęgnowaniu dzieci, tudzież zapobieganiu ich chorobom.

Dla młodych matek garść doskonałych uwag i rad. W życiu kobiety przyjście na świat dziecka, potem piecza nad niem, pielęgnowanie go i dozorowanie, to najtrudniejsze do zwalczenia szkopuły, to owa Achillesowa pięta życia w małżeństwie.

Hygiena współczesna dzięki nowym obserwacyom, ściślejszemu opanowaniu zasad fizyologii i anatomii, oraz baczniejszemu, nie zaciemnianemu przesądami przejęciu się życiem, ustaliła szereg nowych zasad, według których należy postępować, aby jak najskuteczniej ochronić i zabezpieczyć dziecko od chorób i niedomagań.

Organizm dziecinny, rozwijający się i przetwarzający po przyjściu na świat, jeszcze niemal z dnia na dzień, wymaga ściślej i nieustannej uwagi.

To też dr. Taussig śledzi rozwój dziecka niemal z dnia na dzień i daje nam rady, jak z nim postępować w każdej okazyi.

Więc mamy ścisłe przepisy na karmienie przez matkę, to jest na odżywianie naturalme. Hygiena matki, warunki, w jakich może i w jakich nie powinna karmić, są tu omówione szeroko i bardzo przystępnie a jasno. Wiele zakorzenionych przesądów, wiele komunałów zbija tu autor, dowodząc, że matka powinna starać się usilnie o karmienie swego dziecka, a tylko w razie ciężkich dziedzicznych zaburzeń chorobowych od karmienia wstrzymać się winna.

Rozdział następny poświęca autor karmieniu przez mamkę i tu usuwając wiele utartych zdań.

W rozdziale o odżywianiu sztucznem kładzie Taussig silny nacisk na dokładne wyjaśnienie podawanego dzieciom mleka, podaje porządek w jakim sztuczny pokarm winien być podawany, wyczerpując tę kwestyę tak bardzo ważną w zupełności.

Sprawie odżywiania do końca roku drugiego poświęca autor sporo wybornych uwag, kończąc rzecz całą ogólnemi zasadami pielęgnowania dziecka, a więc hygieną skóry i kąpieli, snu, mieszkania, łóżka odzieży, w ostatnim rozdziale zajmując się nakoniec sprawą zapobiegania chorobom wieku dziecięcego.

Cała ta książka sprawia nad wyraz dobre wrażenie i dobrze się stało, że ją literaturze naszej przyswojono.

Wiadomo jak straszną jest śmiertelność wśród niemowląt, dostarczających największego kontyngensu cyfrom śmiertelności, każda więc walka z tem, co dziesiątkuje te maleństwa, jak najżywiej witaną być winna.

To też szczerze każdej matce polecamy pracę dra Taussiga, bo zawiera wiele dobrych a przystępnie opowiedzianych rad, wiele przesądów i urojeń rozwiewa, naprowadzając na właściwe tory tych, którym los wielkie zadanie wkłada w ręce: pielęgnowanie żyć ludzkich i wychowywanie przyszłych obywateli kraju.

* * *

Lubomir Gadon. **Emigracya polska.** Tom I. (z dziesięcioma rycinami w tekscie).

Całość będzie obejmowała trzy tomy. Niniejszy tom (pierwszy) zawiera nadzwyczaj interesujący — ale i przygnębiający zarazem — opis pierwszych lat wychodźtwa polskiego, począwszy od przejścia wojsk do Austryi i Prus, i od tryumfalnego pochodu Polaków przez Niemcy, aż do osiedlenia się większości „pielgrzymów“ w Paryżu i we Francyi. Nietylko zakończenie rewolucyi roku 1831, ale i te pierwsze lata emigracyi polskiej „podają nam przedmiot ciężkiej wagi do rozpamiętywania, rzucając szczególne światło na dojrzałość całego przedsięwzięcia, na skłonności naszego charakteru i na stopień zdolności naszych, a nawet na hart ducha“... Pesymistycznem streszczeniem tych pierwszych lat emigracyi polskiej w Paryżu jest początek „wstępu“ do „Pana Tadeusza“, gdzie przebywający wtedy na paryskim bruku Mickiewicz przynosił — powiada — „z miasta uszy pełne stuku, przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów, zapóźnych żalów, potępieńczych swarów“... Niestety, te potępieńcze swary wśród emigracyi nie ustały po pierwszych latach jej istnienia!.. Książka L. Gadona, autora kilku cennych monografij z dziejów emigracyi polskiej, oparta na źródłowym materyale, wypełni ważną lukę w naszej historyografii. Czyta się z wielkiem zajęciem, choć co moment przy jej czytaniu nasuwają się refleksye, dalekie od optymizmu..

Lordowskie sklepy.

U nas hrabia, zajmujący się przemysłem lub handlem, wciąż jeszcze należy do wyjątków; do wyjątków też należy tytuł hrabiowski lub nawet staro-szlacheckie nazwisko na sklepowym szyldzie. W Anglii inaczej. Tamtejsi „szlachetni“ i jak najlepiej urodzeni lordowie prowadzą rozliczne przedsiębiorstwa przemysłowe i handlowe, użyczając im bez żadnego skrupułu firmy swojej. I tak oto, dla przeglądu: lord Rosebery posiada pięknie renomowane mleczarnie; margrabia Londondery sprzedaje węgiel opalowy, na szyldach jego składów błyszczy od *a* do *z* pełne imię i nazwisko wysokourodzonego kupca. Na ulicach Londynu spotkać można dobrze znane sz. publiczności sklepy z wawrzynem i owocami; spójrzmy na szyld: na szyldzie wielkiemi literami wypisane nazwisko lorda Harringtona. Przejdźmy się po Bond-Street; tam pod Nr. 58 znajdziemy pyszny sklep z bielizną rozmaitą, a z szyldu dowiemy się, że „prowadzi ten interes“ j. o countess o· Warwick. Rzecz prosta — i w Anglii były niegdyś czasy, kiedy to szlachcic sprzedawał jedynie zboża z gruntów swoich. Ale potem dochody ze zbóż poczęły nie wystarczać.... Z innej strony, ludzie ze stanu kupieckiego, doszedłszy do lordowskiego tytułu, nie porzucili praktykowanego z dziada pradziada zajęcia i nowym tytułem nie zawahali się uświetnić pradziadowskiego szyldu. Niech co chcą mówią, to jednak zaleta, jeżeli nie cnota, tego rodzaju odwaga cywilna wobec przesądów, które i w Anglii grasowały niegdyś... A często znów handlowe przedsiębiorstwa wysoko urodzonych anglików mają podkład filantropijny. Tak naprzykład wspomniana hrabina Warwick założyła wielką szwalnię, aby dać zajęcie i chleb córkom mnogich oficyalistów swoich, a potem założyła sklep bielizny, aby wytwórczość szwalni owej ujście miała zyskowne — dla samychże dziewcząt-szwaczek. Dziś każda z pracownic ma swój udział w dochodach sklepu ma niezależność materyalną, zawisłą od pracy rąk własnych. I hrabina-filantropka, przeświadczona, iż czyni i dobrze i pięknie, pozwala herb Warwicków, co figuruje na średniowiecznych królewskich dyplomatach, kłaść jako *„marque de fabrique“* na wyrobach „firmy“ i na kartonowych sklepu hrabiowskiego pudełkach.

Starożytność fajki.

Ogólnie rozpowszechnionem jest mniemanie, że palenie weszło w zwyczaj u Europejczyków dopiero po odkryciu Ameryki. Liczni jednakże archeologowie twierdzą, że w starych a nawet w przedhistorycznych grobowcach często-kroć się znajdują fajki gliniane, żelazne lub też bronzowe. Jeszcze w roku 1844-tym Cochet znalazł wielką liczbę odłamków fajek glinianych w grobowcach galijskich w Neuville le Pollet. W Holandyi znowu Watterville i inni wykryli w grobowcach przedhistorycznych fajki gliniane, tem tylko różniące się od obecnie używanych, że cybuch z główką pod bardziej rozwartym schodzą się kątem, a jeden z archeologów całą poświęcił rozprawę „małym fajkom“ człowieka przedhistorycznego. W Szwajcaryi odnaleziono fajki między szczątkami wyrobów rzymskich; w okolicach Berna Quiquerez odkrył starą kuźnię, pochodzącą z czasów przed rzymskim najazdem jeszcze, a w niej liczne fajki żelazne. W Szkocyi „kopalnych“ fajek jest tyle, że lud je zna doskonale mieniąc fajkami elfów, albo duńczyków. W roku 1845 l'Escalopier znalazł w Rzymie 50 fajek bronzowych, zupełnie prawie podobnych do używanych obecnie przez Niemców. Nie zwrócono jednakże uwagi i ciekawe okazy poginęły, jeden tylko przechowuje się obecnie w Luwrze. Tak tedy od dawna stwierdzono, że przed setkami lat ludzie mieli fajki; pytanie tylko, jakie ziele w nich palono? Stare kroniki chińskie, spisane na kilka setek lat przed odkryciem Ameryki, stwierdzają, że w Chinach od dawna hodowano i palono pewną odmianę tytoniu (*Nicotiana chinensis*). Plinjusz opowiada, że barbarzyńcy palą jakąś trzcinę, którą on „cypirus“ nazywa, i że nigdy z domu nie wychodzą nie wchłonąwszy uprzednio dymu z tej rośliny, gdyż to ich wzmacnia i rozwesela. Z dzieł Herodota dowiadujemy się, że scytowie odurzali się dymem z konopi, kładzionych na gorące kamienie; a i obecnie niektóre ludy wschodnie odurzają się preparatami z konopi. Palono również dla przyjemności rozmaite inne zioła. Poeta kataloński, Mosen Febrer, napisał 1276 r. w poemacie, opiewającym zdobycie Walencyi, że palono podówczas lawendę, gdyż ona sen odpędza i odwagę zwiększa. Danogh O'Brien, król Thomondu, zmarły w r. 1267, na swym grobowcu trzyma w ustach krótką irlandzką fajeczkę. Tak tedy nałóg palenia od najstarszych datuje się czasów.

Nasze ryciny.

Zbrodnicza ręka anarchisty, która życia pozbawiła „pierwszego obywatela Stanów Zjednoczonych“ jest tylko — jak skonstatowano — ślepem narzędziem przewrotowej idei anarchizmu. Tyle już ofiar niewinnych padło pod zbrodniczym zamachem fanatyków tej idei — a wciąż jeszcze mocarstwa nie zabierają się do wykorzenienia tej zakały ludzkości.

W dzisiejszym numerze podajemy ryciny zamordowanego prezydenta Wiljama Mac-Kinle'a i dotychczasowego jego zastępcę Teodora Rossevelta, który w myśl konstytucyi Stanów po śmierci prezydenta zaszłej w czasie okresu jego urzędowania t. j. czterolecia, obejmuje tegoż urząd. Jako trzecią ilustracyę, pozostającą z powyższą sprawą w pewnym przyczynowym związku, podajemy portret anarchistki Emmy Goldmanówny, młodej rosyanki, która siłą swej wymowy i ogniem swych wywodów jest z daje się, moralną sprawczynią zamachu.

Jako ilustracyę artystyczną podajemy obraz *Maxa Nonnenbrucha* p. t. Egipcyanka. Spokój i harmonia jest cechą tej udatnej pracy, w której klasyczna piękność Egipcyanki z wielką siłą i plastyką się przejawia.

Wydawca **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.